Pr. III. 65/3
2

C. k. Sąd krajowy jako prasowy na wniosek c. k. Prokuratora Państwa po myśli § 493 p. k. orzekł, że zamieszczony w Nrze 15 czasopisma „Nowe Słowo“ z dnia 1-go Sierpnia 1903 artykuł pod tytułem: „Nad ranem“ cała strona 346—350 zawiera znamiona występku z § 516. u. k. że zakazuje się rozszerzania tego artykułu, zatwierdza się zarządzoną przez c. k. Prokuratoryę Państwa konfiskatę pomienionego numeru a cały nakład takowego ma być zniszczonym, albowiem w artykule tym przedstawione są czyny niemoralne naruszające wstydliwość i obyczajność w sposób gruby i publiczne zgorszenie wywołujący.

Równocześnie na wniosek c. k. Prokuratoryi Państwa stosownie do przepisu N. 20. ust. pras. poleca się redakcyi czasopisma „Nowe Słowo“ aby uchwałę tę w najbliższym numerze czasopisma na pierwszej stronie takowego pod rygorem skutków z § 21. ust. pras. bezpłatnie zamieściła.

C. k. Sąd krajowy jako prasowy.

Kraków dnia 3. Sierpnia 1903.

Morelowski.

KAETHE SCHIRMACHER.

PRACA KOBIET I OCHRONA ROBOCZA.

CIĄG DALSZY.

II.

Tyle więc o gospodyniach nowoczesnych.

Położenie robotnic zawodowych nie jest wcale lepsze.

W jakiejkolwiek dziedzinie zaofiarują swoją pracę, zawsze muszą ją oddawać wśród okoliczności mniej pomyślnych niż mężczyźni, a to skutkiem niższości, która dziś już stała się rzeczywistą, lecz która często jest sztuczna i odwołalna, albo też skutkiem przesądów społecznych, wobec których stają bezradne i bezbronne.

Ciążą jeszcze na nich do pewnego stopnia wszystkie niewole przeszłości, fizyczne i intelektualne, moralne, prawne, polityczne i społeczne; wszędzie, nawet najbardziej powierzchowne badanie może wykazać ich ślad więcej lub mniej głęboki.

Kobiety, które pracując jak mężczyźni, otrzymują płace męskie i wyrabiają sobie równe z mężczyznami stanowisko, są wyjątkiem i stanowią drobną niezmiernie mniejszość.

W ogólności można wziąć za pewnik, że kobieta w każdej dziedzinie uchodzi za robotnika drugorzędnego, więc dostarcza pracy drugorzędnej za płacę drugorzędną, a nawet trzeciorzędną. Z bardzo małymi wyjątkami kobieta, nawet przy pracy równej, otrzymuje zaledwie połowę lub trzecią część płacy mężczyzny.

Kilka szczegółów w tym względzie.

Współzawodnictwo mężczyzny i kobiety największe jest w klasach mieszczańskich.

Produkcya nowożytna, wielki przemysł pozbawił znaczną liczbę kobiet mieszczańskich większej części domowej pracy wytwórczej.

Kobiety nie mogły się sprzeciwić temu rabunkowi. Żyjąc zdala od życia publicznego, nie znając nawet wartości ekonomicznej swojej roli wytwórczyń, którą jednak spełniały od początków cywilizacyi, wcale nie znając ekonomii społecznej ani praktyki kupieckiej, musiały znieść napór wielkiego rozwoju przemysłu nowożytnego podobnie jak znosiły tyle innych. Toteż nie z pośród gospodyń, oddalonych od wytwórczości społecznej, mogli wyjść ci nowi naczelnicy fabryk, książęta bankowi, królowie dróg żelaznych. Nie mogąc już znaleść w domu utrzymania dawnego, kobieta musiała poszukać wynagrodzenia (kompensacyi) w pracy zawodowej poza domem.

Ta kompensacya w klasach mieszczańskich musiała się dokonać kosztem niemal wyłącznym mężczyzny. Albowiem przeważną ilość zawodów mieszczańskich wykonywał przeważnie mężczyzna.

Stąd w klasach średnich wszystkich krajów walka nieustanna kobiet o możność obierania zawodów liberalnych i kupieckich, o równe z mężczyzną przygotowanie do zawodu, o równy przystęp do tych rozmaitych urzędów, i o wyższe płace od tych, jakie otrzymują obecnie pracownice, uchodzące za intruzów, często niedostatecznie przygotowanych i zmuszonych do korzenia się, żeby módz jeno o co się zaczepić.

Są to zapasy gorące, jest to walka brutalna. Wychodząc z maksymy: „Tu jestem, więc tu zostanę“, większość mężczyzn broni swych pozycyj z zażartością wcześniej przybyłego, mocniejszego i uprzywilejowanego. Z przykrością nawet musiałam stwierdzić, że niektórzy chwytają się środków nie ze wszystkiem uczciwych.

Dzieje tej walki o byt kobiety mieszczańskiej w dziedzinie nauczycielstwa, medycyny, sądownictwa, pastoratu i handlu znane są dobrze i nie będę ich tu szerzej rozwijać.

Jakkolwiek ta walka dotyka ich osobiście, to jednak powinna ich zająć zarówno, a z punktu widzenia ogólnego nawet więcej, inna walka, która się toczy pod ich okiem. Jest to walka o byt olbrzymiej większości kobiet, kobiet klas ludowych, robotnic.

Przeszkody i trudności, na jakie napotykają kobiety mieszczańskie, są małe wobec przeszkód wielkich i poważnych, jakie ma do zwalczania robotnica. Bardzo często niepewne warunki pracy kobiet mieszczańskich pozbawionych majątku nie są niczem w porównaniu z labiryntem, w jakim błąka się robotnica.

Zresztą pewna ilość kobiet mieszczańskich rozporządza wiadomościami, chwilami wolnemi, wpływami, o których robotnica wyobrażenia nawet nie

ma. Wiadomości te, chwile wolne i wpływy, powinny iść na usługi wszystkich kobiet, powinny przyczynić się do wyzwolenia zupełnego kobiet.

I czas już, aby kobiety mieszczańskie wszystkich krajów pojęły zadanie, jakie na nie czeka.

Wśród ludu współzawodnictwo mężczyzny i kobiety znacznie jest mniejsze niż w klasie mieszczańskiej. W robotach ciężkich mężczyzna odrazu bierze górę nad kobietą, która nie może mu dorównać z młotem, piłą lub łopatą w ręku.

Przemysł górniczy, metalurgia, budownictwo i przewóz, które absorbują większość rękodzielników męzkich, nie dopuszczają kobiet do pracy zawodowej w ścisłem znaczeniu.

Może jedynie walczyć z mężczyzną w dziedzinie robót, które wymagają zręczności, a więc w przemysłach tkackich, n. p. w krawiectwie.

W dziewięciu dziesiątych wypadków, powiada pani Sidney-Webb, znana ekonomistka angielska, kobieta, pracująca w tymsamym co mężczyzna rzemiośle, nie otrzymuje tychsamych robót. Gdy on zajmuje się wytwórczością właściwą, ona wykonywa prace dodatkowe, niezbędne, lecz nie bezpośrednio zawodowe.

Kobieta zapala lampy w fabrykach, tłucze cukier i pakuje, przygotowuje, zawija, czyści, zdobi, słowem kobieta jest pomocnicą.

Wiele z tych prac dodatkowych i pomocniczych, to jednak roboty bardzo uciążliwe i żmudne, chociaż niewielkiej wymagają wiedzy zawodowej.

I tak Pelloutier w swojej książce o „Życiu roboczem we Francyi“ podaje przykład tragarek w cukrowniach, dźwigających do tłuczni płyty cukru 10 kg. wagi i odbywających siedmset do ośmset takich dróg na przestrzeni 25 metrów.

Ze względu na wielki trud, powinni te roboty wykonywać mężczyźni, ale że to są roboty niższe, źle płatne, więc fatalnie przypadają kobietom, zupełnie jak w czasach pierwotnych grube roboty w polu.

Wybiórki do wybiórek: oto, jak krótko można scharakteryzować to przykre położenie.

A robotnice z tem większem zamiłowaniem oddają się tej robocie, że przeważnie pod względem ogólnego wykształcenia i wiedzy zawodowej są bardziej nieświadome od robotników.

Bardziej nieświadome? Dlaczego?

Dla bardzo prostej przyczyny, powiada Leroy-Beaulieu, że dziewczęta, „prędzej dojrzewające umysłowo i odznaczające się charakterem bardziej przystępnym i łagodnym, mogą być użyteczne w domu, gdy tymczasem chłopców chętnie się z domu wysyła, ponieważ są bardziej hałaśliwi i charakter mają bardziej uporny“. Skoro tylko okaże się potrzeba wyręczenia matki, w domu zostaje córka, szkoła zaś i wykształcenie idą w poniewierkę.

W ten sposób już w obrębie rodziny rozpoczyna się przedwczesne wyzyskiwanie siły roboczej dziewczyny z ludu.

Tensam sposób stosują do jej nauki.

Nie śmie nic kosztować, a zarabiać ma jaknajwcześniej.

Począwszy od dziesiątego roku życia szuka drobnych zajęć, pilnuje dzieci, sprząta i szyje, oczywiście w chwilach wolnych.

Po ukończeniu szkoły, wstępuje gdzie znajdzie miejsce, a nikt nawet nie zapyta, jakie ma zdolności lub skłonności.

Cóż to szkodzi, że nie ma nawet wyobrażenia o nowej swej robocie. Idzie przedewszystkiem o to, żeby zadowalniała się byle czem przez pierwszych kilka tygodni, i ażeby zarabiała potem, co tylko może, pracą akordową. Pani Hicks cytuje przykład młodej robotnicy angielskiej, która od 10 do 20 roku życia przeszła przez 20 rodzajów przemysłu. A tem mniej myśli się o poważnem zawodowem wykształceniu młodych robotnic, że one same myślą o małżeństwie, które jak sądzą, uwolni ich od pracowni i kres położy stanowczy ich zawodowi przemysłowemu.

Dodajmy do tego fakt, że robotnica wyłączona od udziału w życiu politycznem i publicznem, zazwyczaj pozbawiona jest wszelkiej zdolności utworzenia sobie jakiegokolwiek pojęcia ogólnego, że zawsze uważa się i rozważa indywidualnie, w odosobnieniu i, że nigdy nie zastanowiły jej oczywiste korzyści organizacyi syndykalnej i wyższego stanowiska prawnego, politycznego i społecznego.

Kobieta, która w tych warunkach ofiaruje swoją pracę, jest istotnie owym robotnikiem drugorzędnym, o którym co dopiero mówiliśmy; skutkiem bądź niższości fizycznej, bądź nieświadomości zawodowej wytwarza często mniej od mężczyzny a przytem wyczerpuje się taksamo jak on i więcej przy robotach wybiórkowych, które jej w udziale przypadają przedewszystkiem z powodu jej niższości pod względem społecznym.

Lecz, zarzuci kto, pocóż w tych warunkach używać kobiet, tych robotników drugorzędnych?

Przyczyna tego bardzo jasna: z małymi wyjątkami płaci się zawsze robotnicę gorzej niż robotnika.

Nic słuszniejszego odpowie kto, skoro robota jej jest niższa od roboty mężczyzny.

Nic słuszniejszego istotnie, przemawiają zatem przynajmniej pozory. Kiedy n. p. w Lugdunie, gdzie w tkactwie jedwabniczem płaci się od metra, robotnica wyprodukuje mniej od robotnika, naówczas nic pozostaje jej nic innego, chyba winić naturę o to, że jej odmówiła siły muskularnej mężczyzny. Skala płac jest jednaka dla obojga płci, więc też nie można wołać na niesprawiedliwość.

Na nieszczęście jednak równość skali nie wszędzie jest przyjęta, a czę-

sto się zdarza, że nawet płacę od sztuki ocenia się wedle stopy niższej dla robotnic, wyższej dla robotników. Dzieje się to n. p. w całym przemyśle tkackim Saksonii. Lecz — i to jest rzecz wielkiej wagi, — wydajność pracy kobiet nie zawsze jest niższa od wydajności pracy męskiej.

Coraz częstsze wprowadzanie ulepszonych machin, zamieniając roboty ciężkie na roboty, wymagające zręczności i doglądania, otworzyło robotnicom dziedziny, na których z powodzeniem mogą ubiegać się o lepsze z mężczyzną, zarówno pod względem ilości jak jakości produkcyi.

Skutkiem też zaprowadzenia machin przemysły tkackie już od dawna, a fabrykacya bucików i grubszych ubrań nieco później, zaczęła coraz częściej używać rąk kobiecych.

Lecz mimo jednakiej wytwórczości, płace kobiet są znacznie niższe.

Tasama niesprawiedliwość w innej dziedzinie: we Francyi stróż rogatki otrzymuje 60 fr. miesięcznie, gdy tymczasem kobieta, sprawująca tensam urząd, a więc spełniająca tęsamą dokładnie pracę, otrzymuje równą połowę 30 fr. (Pellontier).

Niesprawiedliwość ta uwydatnia się jeszcze jaskrawiej, gdy idzie o roboty, które kobieta spełnia lepiej od mężczyzny.

Tak uchodzą we Francyi kobiety ładujące buraki za „zręczniejsze, zwinniejsze, a nawet wytrzymalsze na niepogody“ niż mężczyźni. Lecz płaci im się 2—2·75 fr. dziennie za tęsamą pracę, za którą mężczyzna otrzymuje 4·50 fr.

Zresztą kobiety, nawet przy niższej wytwórczości, mają pewne właściwości, które wynagrodzić mogą, nawet do zbytku, mniejszą wydajność i z powodu których kobiety uchodzą za siłę roboczą korzystniejszą.

Komisya robocza Stanów Zjednoczonych wydała w tym względzie pouczające zestawienie. Rozesłała do tysiąca i więcej właścicieli pytania, dla jakich przyczyn zatrudniają u siebie kobiety.

Odpowiedzi są typowe.

W 804 wypadkach kobiety były zdatniejsze do rodzaju zatrudnienia, oczywiście były zdatniejsze i mniejsze pobierały płace.

W 318 wypadkach kosztowały mniej.

W 126 można więcej się zdać na nie; w innych wypadkach zalecała je większa schludność, pilność, grzeczność i cierpliwość, łagodność i spokój, właściwości zatem które umożliwiają dozór nad niemi i powstrzymują je od strejków.

Oto cenne właściwości, które pracodawcy mogą wynagrodzić niższość wytwórczości, a które przynoszą znaczne zyski, gdy, jak się zdarza często, produkcya kobieca dorównywa męzkiej, lub od niej jest wyższa.

Lecz, jeżeli to korzyść dla pracodawcy, to niema w tem żadnej korzyści dla robotnicy, a ten sposób płacenia ze zniżką nawet za zalety kobiet, jest wygórowanym wyzyskiem.

Jakkolwiek jednak to traktowanie rąk kobiecych jest niezmiernie niesprawiedliwe, nic brak mu jednak logiki.

Zalety, które szczególnie zalecają zatrudnianie robotnic, są to zalety pokonanych, zrezygnowanych, słowem zalety Kopciuszka. Słodycz, cierpliwość, grzeczność, schludność, wszystko to jeszcze do walki nie wystarcza, nie budzi oporu i ochoty narażania się na zmienne koleje zwycięstwa i klęski i gwałtu.

Niema wojowniczości w tych zaletach kobiecych. Otóż życie nasze przemysłowe toczy się tak bardzo pod przemożnem władaniem obrachowania i egoizmu, że prawo, które się siłą nie narzuca, doznaje pogwałcenia na każdym kroku. Lecz gdzież robotnica znajdzie sił dosyć, żeby bronić swych praw? Nigdzie; toteż z rezygnacyą przyjmuje warunki, które się jej narzuca, a które co dopiero opisaliśmy.

Ciąży na niej przeszłość domowa, która złamała w niej wszelaki polot.

Swojej przeszłości domowej zawdzięcza zalety, z których korzysta i których nadużywa pracodawca; zalety te, to przyzwyczajenie do długich, niekończących się dni pracy, to zwyczaj przyjmowania nie bezpośrednio płacy za robotę, to zwyczaj uważania jakiejbądź gotówki za skarby Golkondy, to zwyczaj przyjmowania płacy uzupełniającej, ilekroć mąż w domostwie zapewni jej część utrzymania.

Swej przeszłości domowej zawdzięcza jeszcze zdolność oszczędzania i okrawywania wszystkiego, co dało początek nieszczęsnej legendzie, jakoby potrzeby miała mniejsze od mężczyzny.

Jestto głęboka pomyłka. Potrzeby jej nie są wcale mniejsze. Lecz ta niewolnica bojaźliwa, matka czuła i troskliwa, przywykła do tego, żeby ich nie zaspokajać.

Widzieliśmy również, że jej przeszłość domowa nie daje jej nabyć wiedzy ogólnej i zawodowej na sposób mężczyzny i sprawia, że tyle robotnic pracuje nieregularnie, po dyletancku i w odosobnieniu. Ta przeszłość czyni ją również nieśmiałą, odbiera jej przedsiębiorczość, ilekroć trzeba szukać pracy na obczyźnie.

W końcu kobiety, nie dopuszczane do wielu dziedzin przemysłu, zwalczają się wzajemnie aż do przesady w rodzajach tzw. przemysłu kobiecego (hafty, trykoty, krawiectwo, bielizna). A liczba współzawodniczących jest tem większa, że z każdym dniem rośnie tłum wdów, kobiet opuszczonych, słowem istot żeńskich bez zajęcia, które skutkiem śmierci lub odejścia głowy rodziny muszą starać się o własne i o swoich blizkich utrzymanie przy pomocy śmiesznych uzupełnień wypłacanych kobiecie — ponieważ, jak mówią, mniejsze ma potrzeby i mniej obowiązków od mężczyzny.

Z poprzedniego zestawienia wynika, że położenie robotnicy jest zupełnie niepewne i, że raczej niż o organizacyi pracy kobiecej należałoby mó-

wić o desorganizacyi fatalnej, której zaradzić nie można, ponieważ ma swe źródło w samejże pracy i jej formach obecnych, a która, że tak powiem, jest konstytucyjna.

Niekorzystne warunki. wśród których robotnica wystąpiła poraz pierwszy jako pracownik drugorzędny, sprawiają, że nawet przy równej wytwórczości i przy równych zadaniach kobieta nie może osiągnąć tej samej co mężczyzna płacy.

Wszędzie wlecze za sobą szczątki swej niewoli domowej i rodzinnej.

Ponieważ zawsze zajmowała stanowisko społeczne upośledzone, więc cierpi skutkiem zakorzenionego przesądu płciowego. Kobieta nigdy nie warta tyle, co mężczyzna, oto zagwożdżenie bez wyjścia.

Mężczyznom wszystko wychodzi na dobre, nawet wady, ponieważ umieją je narzucać.

Kobiecie wszystko szkodzi, nawet zalety, dla których nie umiała wymusić szacunku.

W końcu dobija ją przesadna konkurencya. D. c. n.

MARJA RYGIER.

WALKA Z PROSTYTUCJĄ.

Prostytucja, jako ujemny objaw społeczny, ma swoje główne źródła: w nędzy kobiet, zmuszającej je do szukania w nierządzie zarobku, celem zaspokojenia pierwszych potrzeb życia, na które zwykle nie wystarcza marne wynagrodzenie pobierane za uczciwą pracę; w braku opieki nad maloletniemi dziewczętami i w zaniedbanem wychowaniu moralnem i fachowem dzieci ludu. Te czynniki, wpływające na sprowadzenie z drogi uczciwości nieprzeliczonych ofiar, skazanych na poniewierkę i na prawdziwe męczarnie duchowe i cielesne, są czynnikami społecznemi i jako takie, mają prawo, aby się niemi zajęło całe społeczeństwo, i przeciwdziałało tej strasznej krzywdzie i poniżeniu kobiety. Szczególnie kobiety, do jakiejkolwiek klasy należą, powinny podjąć walkę z prostytucją, w imię solidarności, nie pozwalającej patrzeć obojętnie na rozpacz i na hańbę tylu nieszczęśliwych istot, zmuszonych zaprzedać się dla kawałka chleba, a mimo to nie zabezpieczonych od nędzy, która czycha na nie i porywa w swe szpony, kiedy zwiędłe przedwcześnie wdzięki nie mogą już zwabić występnych poszukiwaczy płatnej rozkoszy. Jeżeli zaś oburzenie na widok niesprawiedliwości, popełnionej względem najsłabszych i najbardziej upośledzonych, nie jest dostatecznym bodźcem do czynu, jeżeli godność niewieścia nie skłania kobiety do wydarcia rozpuście tych biernych i bezsilnych narzędzi, które tarzają w błocie najświętszy ideał kobiety: miłość winna ją zachęcić do dzia-

łania, myśl o własnej obronie, o zagrożonem jej własnem szczęściu, bo te biedne, upadłe dziewczyny, same ciężke krzywdzone przez społeczeństwo, wyrządzają też najdotkliwszą krzywdę uczciwej kobiecie, wydzierając jej i znieprawiając tych których kocha.

Walka z prostytucją nie jest łatwą. Zatrważający pauperyzm, który się szerzy wśród proletarjatu, strąca coraz nowe ofiary w otchłań rozpusty. Trudno zapobiedz uwiedzeniu, trudno także podnieść upadłą już dziewczynę; jednak działać należy, i to w obydwu tych kierunkach. Żadna istota, choćby najbardziej występna i skalana, nie traci prawa do opieki społeczeństwa. Stowarzyszenia walczące z prostytucją są dość liczne i mają charakter międzynarodowy. Pierwociny tego ruchu powstały w Anglii, mniej więcej przed trzydziestu laty, dzięki głównie staraniom małej garstki kobiet dobrej woli, wśród których zajmuje przodujące stanowisko Józefina Buttler. Początkowo była to działalność czysto angielska; lecz wkrótce rozszerzyła swój zakres, jednocząc we wspólnym usiłowaniu wszystkich ludzi, tak mężczyzn jak i kobiety, dążących do podniesienia poziomu moralności, bez względu na różnice narodowe, religijne i polityczne. Główne związki, których zadaniem jest obrona kobiet narażonych na uwiedzenie lub już upadłych, są następujące: międzynarodowe towarzystwo przeciwników dozoru policyjnego nad kobietami oddającemi się prostytucji, czyli tak zwanych abolicyonistów; „międzynarodowy związek zwalczający niecny handel białemi niewolnicami“, (*contre la traite des blanches);* i międzynarodowe stowarzyszenie przyjaciółek młodej dziewczyny, *(Union internationale des amies de la jeune fille).* Najstarsze jest towarzystwo abolicyonistów, które liczy około dwudziestu sześciu lat istnienia, i zostało założone przez niezmordowaną i zasłużoną propagatorkę Józefinę Buttler.

Abolicyoniści wychodzą z założenia iż dozór policyjny nad nierządem jest niemoralny: po pierwsze, dlatego, że niweczy wolność osobistą kobiety, często bardziej nieszczęśliwej niż występnej, narażając ją na wybryki i szykany wyższych i niższych ajentów porządku publicznego; po drugie, dlatego, że zachęca mężczyzn do rozpusty, zapewniając im pozornie jaknajwiększe bezpieczeństwo, które jednak w praktyce okazuje się niedostatecznem; po trzecie, dlatego, że rząd, mając nadzór nad prostytucją, zdaje się ją uznawać jako zło konieczne, co wywiera zgubny wpływ na młodzież męzką i sprzeciwia się wszelkim zasadom etycznym. Jak wiadomo, policja obyczajowa, (*police des moeurs*), powstała za panowania Napoleona I, z jego własnej inicjatywy, i została przyjętą przez znaczną część państw europejskich. Parlament angielski, w 1866 i 1869, uchwalił jej zaprowadzenie w dziewiętnastu portach i miastach warownych. Z początku ludność nie zwracała uwagi na nową ustawę, nie pojmując jej doniosłości, lecz jak tylko przekonała się naocznie o rzeczywistym znaczeniu tej reformy, okazała swe niezadowolenie

i zaczęła nadsyłać prośby do Izby gmin, żądając zniesienia tego przepisu, naruszającego prawa zapewnione przez konstytucję każdemu obywatelowi. Józefina Buttler, która już przedtem zajmowała się czynnie opieką nad uwiedzionemi dziewczętami, stanęła na czele ruchu. Abolicyoniści odnieśli w Anglii walne zwycięstwo. Pani Buttler objechała kolejno Francję, Szwajcarję i Włochy, jednając wszędzie zwolenników dla swego hasła; w 1875 zawiązało się międzynarodowe stowarzyszenie, do którego przystąpiły wybitne jednostki polityczne i naukowe wszystkich krajów. Pierwszym czynem związku było założenie towarzystw narodowych, działających w myśl postanowień zapadłych na wiecu Genewskim w 1877, z zastrzeżeniem zupełnej swobody poszczególnych komitetów do przedsiębrania tych środków, które się okażą korzystnemi przy miejscowych okolicznościach. Dotychczas policja obyczajowa istnieje w wielu państwach, i jest stosowana ze szczególną surowością we Francji i w Niemczech. We Włoszech nadzór nierządu został wprowadzony prostym dekretem ministerjalnym przez Cavour'a, w 1860, dziewięć miesięcy przed stworzeniem królestwa włoskiego. Nigdy nie otrzymał potwierdzenia parlamentu, był przeto nielegalny; mimo to istniał aż do 1888. Dopiero wtedy, na wniosek ministra Crispi'ego i za zgodą parlamentu, dawny przepis został zniesiony, kobiety złego życia uwolnione od krępujących je formalności, a odpowiedzialność za stan zdrowotny mieszkanek domów publicznych złożona na barki tych, którzy utrzymują podobne lokale. Niektóre dodatki, wprowadzone do tego prawa za ministerstwa Nicotera, nie zmieniają istoty rzeczy. Abolicyoniści oddają ważną przysługę idei feminizmu, głosząc zasadę, że nie powinno być dwóch sądów i dwóch postępowań względem wykroczeń obyczajowych mężczyzny i kobiety.

Prostytucja łączy się ściśle z większem lub mniejszem ubóstwem proletarjatu; szczególnie zaś z płacą kobiet. Kobieta, pracująca na równi z mężczyzną, powinna zarabiać tyle co i on; prosta sprawiedliwość tego wymaga. Tymczasem dzieje się inaczej. Ekonomiści tłómaczą różnicę, jaka zachodzi między wynagrodzeniem mężczyzny a kobiety, małemi potrzebami tej ostatniej. Lecz w rzeczywistości kobieta samotna, żyjąca wyłącznie z owoców swego trudu, jest zmuszoną nieraz szukać pokątnych dochodów uwłaszczających jej czci, żeby wprost nie umrzeć z głodu. Było to wykazane cyframi na kongresie abolicyonistów w Genewie, odbytym w 1899. Osobne posiedzenie zostało poświęcone rozpatrzeniu położenia ekonomicznego robotnic w różnych krajach. Przemawiały panna Papritz, panna Schirmacher i pani Gevin Cassal. Oto niektóre fakta przez nie przytoczone. W Berlinie, gdzie, na sam wikt i zapłacenie tak zwanego „Schlafstelle“, czyli łóżka, umieszczonego w kuchni lub w ciasnej stancji zajętej przez kilka osób, potrzeba 1 fr. 50 dziennie, to jest 10 fr. 50 na tydzień, tylko bardzo zręczna i biegła szwaczka może zarobić 15 fr. tygodniowo, pracując jedenaście godzin na

dzień, zwykła płaca, jaką pomniejsi przedsiębiorcy dają swoim robotnicom. wynosi od 1 fr. do 1 fr. 30 dziennie, za piętnastogodzinną pracę wykonaną w dusznej izbie, zakażonej parą i zaduchem pieca. na którym się grzeją żelazka do prasowania, i oddechem trzech lub czterech robotnic, ich przedsiębiorcy, i jego rodziny, złożonej z małych, brudnych dzieci. Ogółem biorąc, kobieta zarabia w Niemczech zaledwie połowę, a czasem i trzecią część tego co mężczyzna. W wielu fabrykach płaca tygodniowa kobiety schodzi się aż do minimum 3 fr. 80. Równie opłakanym jest los służących; szczególnie małoletnich „popychadeł", wyzyskiwanych przez panią, a bałamuconych przez pana lub panicza; poczem uwodziciel pozbywa się dziewczyny skrzywdzonej, wyrzucając ją z domu W tej sprawie były nawet interpelacje w Parlamencie Rzeszy. Panny sklepowe podają też często ofiarą swych chlebodawców, którzy, płacąc im po 50 lub 60 fr. miesięcznie, a nieraz i po 125 fr., karzą wydaleniem i złym świadectwem cnotliwy opór dziewczyny, niechcącej się poddać ich żądzom. I w innych krajach nie dzieje się lepiej. W Stanach Zjednoczonych kobieta otrzymuje zapłatę równającą się połowie, a w najlepszym razie dwóm trzeciom wynagrodzenia pobieranego przez mężczyznę. W Anglii zarabia ona od 7 fr. 20 do 8 fr. 40 tygodniowo, zależnie od fachu. W Wiedniu robotnica musi się utrzymać przez cały tydzień za 6 lub 7 fr.; zważywszy na drożyznę panującą w tym mieście jest to zupełnie niewystarczające. We Włoszech dzienna płaca kobiety wacha się między 80 cent. a 1 fr. 50; dziewczyny wyrabiające kapelusze słomiane, dostają za czternaście godzin pracy, 20 lub 30 cent. We Francji najwyższa płaca kobiety nie przechodzi dwóch trzecich męzkiej; przeciętna spada niżej połowy; 1 fr., 1 fr. 50, 3fr. i 3 fr. 15 dziennie, oto czego może się spodziewać francuzka robotnica. W tym wyzysku, na jaki jest narażona kobieta pracująca, należy szukać głównego źródła jej wykroczeń obyczajowych. Doktor Comenge w swoim sławnym dziele o prostytucji, powiada że robotnica bez rodziny jest skazaną z góry na to, iż przyjdzie chwila kiedy jej uczciwość będzie musiała się ugiąć pod naciskiem niedostatku. (D. c. n.)

KRONIKA.

Czyny niemoralne naruszające wstydliwość i obyczajność w sposób gruby i publiczne zgorszenie wywołujący — piętnować, przedstawiać w całej bolesnej grozie nędzę, upodlenie i śmertelne zmęczenie kobiet zamkniętych w domach zostających pod nadzorem policyi, a więc tolerowanych i tem samem uprawomocnionym przez państwo — jest rzeczą niedozwoloną przez władzę. To smutne doświadczenie nabyliśmy przez konfiskatę ostatniego numeru „Nowego Słowa" za nowelkę przedstawiającą dramat dziewczyny zamienionej na towar i strąconej poniżej praw jakie nawet zwierzę mieć powinno. Wolno więc istnieć instytucyi w której dzieją się „czyny niemoralne naruszające wstydliwość i obyczajność w sposób gruby i publiczne zgor-

szenie wywołujący“ wolno pisać o tych czynach w sposób ohydnie sprośny jak to się dzieje w pismach tzw. humorystycznych, które znajdują się we wszystkich cukierniach, we wszystkich mleczarniach, w oknach wystawowych i t. p. dostając się w ręce młodzieży i czyniąc przerażającą wprost propagandę występku i rozpusty — ale nie wolno w sposób poważny, środkami artystycznemi budzić sumienia ludzi uczciwych aby podjęli walkę z kłamstwem i obłudą po za którą dzieją się w ukryciu „czyny niemoralne naruszające wstydliwość i obyczajność“. O tym nowym objawie podwójnej moralności — streszczającej się w brzmiącej wstydliwie maksymie: to się toleruje, ale o tem mówić nie wolno — musieliśmy zawiadomić naszych czytelników, aby wytłómaczyć im dlaczego pismo nasze które od początku swego istnienia podjęło walkę przeciw czynom i instytucyom niemoralnym, uległo konfiskacie. Mówiliśmy poważnie a nawet tragicznie o rzeczy — którą opisywać wolno tylko z cyniczną lubieżnością — lub pornograficznym dowcipem.

Anna Pappritz. „Herrenmoral.“ (Wyd. „Frauen Rundschau“ 1903. O kongresie „Niemieckiego Tow. zwalczania chorób wenerycznych,“ który się odbył w marcu r. b. we Frankfurcie mieliśmy już sposobność wspominać; teraz musimy pomówić o nim trochę obszerniej z okazyi ukazania się wyżej wspomnianej książki p. Anny Pappritz.

Książka ta jest wyrazem oburzenia kobiet, które wzięły udział w obradach kongresu i przekonały się, że większość mężczyzn obradujących wychodziło z czysto egoistycznego punktu widzenia, broniąc interesów jednej tylko płci i klasy.

O ważności sprawy, jaką zajmował się kongres nie potrzebujemy się rozwodzić, dosyć będzie powtórzyć przytoczone w książce p. Pappritz statystyczne dane, zebrane przez dra Blaschko z Berlina. Według tych danych chorobom wenerycznym podlega 4—5% żołnierzy, 23% kelnerek, 25% studentów, 30% tajnych prostytutek. Z tego obfitego źródła pochodzą tysiące dramatów rodzinnych, zaraza ta niszczy tysiące szczęść ludzkich, odbija się na potomstwie aż w kilku pokoleniach.

Autorka należy do tej grupy walczących z tym wrzodem społecznym, która ratunek widzi jedynie w zupełnem wykorzenieniu prostytucyi uznanej, aprobowanej i otoczonej opieką społeczeństwa, w reformach wychowawczych i ekonomicznych, sięgających do głębin społecznych. Omawiana książka jest aktem oskarżającym drugą grupę uczestników kongresu, obecnie przeważającą jeszcze, która ratunek widzi w centralizacyi prostytucyi i w zwiększeniu sanitarnej nad nią opieki.

Pierwsza grupa, nazywająca się grupą abolicjonistów dziś liczy już dość dużo zwolenniczek, nawet zwolenników wśród powag naukowych, prowadzi poważną propagandę i wydaje swe pisma. O tej działalności wkrótce pomówimy osobno Dziś powiedzieć tylko musimy, że dzięki tej propagandzie zniesiono domy publiczne, pozostające pod opieką państwa w Anglii, Norwegyi, Szwajcaryi, i Włoszech.

Zaiste oryginalny projekt niektórych uczestników kongresu opisuje autorka w omawianej przez nas książeczce. Mianowicie, panowie ci proponują zakładanie wielkich domów publicznych pod sanitarnem nadzorem kobiet-lekarek. Byłoby to coś w rodzaju miasta w wielkim mieście nprz. w Berlinie. Należałoby skoncentrować około 2000 przebywających tam prostytutek w jednej dzielnicy a ponieważ ilość taka to już spore miasteczko, wymagające specyalnych urzędów i urządzeń, magazynów i rzemiosł, więc ze względów „moralnych“ w tym mieście wszystkie owe urzędy i tp. spełniałyby „uczciwe“ kobiety i oto mamy zarazem otwarte nowe pola pracy dla kobiet... w mieście prostytutek! Doprawdy godny projekt!

Oto do takich wyników praktycznych doprowadzają teorye zwolenników dzisiejszego stanu rzeczy, kasarnianej prostytucyi. A cóż jeszcze wymyślą ci zwolennicy w celu zwalczenia handlu dziewczętami, zjawiska niezbędnie idącego śladem państwowej prostytucyi? Może chcąc dla kobiet otworzyć nowe nader korzystne pole pracy, oddadzą ten handel w ręce handlarek wyłącznie zamiast handlarzy?

Pozostawmy teraz na uboczu moralną stroną kwestyi i zapytajmy się, co jest więcej dla społeczeństwa pożytecznem: czy kosztowne scentralizowanie prostytucyi pod opieką państwa, cały skomplikowany system reglementacyi, leczący zaledwie w setnej części jedynie objawy choroby, czy też stopniowe, lecz energiczne zwalczanie zła od podstaw?

Abolicjoniści wołają o budowanie specyalnych lecznic dla wenerycznych chorych, o zniesienie wszelkiego rodzaju instytucyi, które nie są niczem innem, jak tylko zamaskowanemi domami rozpusty; wreszcie co najważniejsze, wołają o cały szereg głębszych socyalnych reform: uświadomianie obojga płci, podniesienie dobrobytu klas pracujących a w szczególności zajętych w przemyśle kobiet i t. d.

Jeżeli więc prawdą jest to co mówiono na kongresie, że mężczyzna jest urodzonym reglementarystą, kobieta zaś urodzoną abolicyjonistką, to przynosi to jedynie zaszczyt kobietom, a demaskuje ciasnotę i egoizm mężczyzn pod tym względem.

Berta Baron, von Suttner. Ogół kobiet austryackich obchodził uroczyście 60 letni dzień urodzin znanej autorki „Precz z orężem!“ i bojowniczki za ideę pokoju powszechnego. Chociaż nie można w zupełności podzielać nadziei bar. Suttner na pokój powszechny, zdobyły drogą dyplomacyi i wysokich rozkazów, uczcić jednak trzeba w niej szczere oddanie się swej idei i umysł niepospolity. *St. K. K.*

LUDWIK EMINOWICZ.

* * *

...szedł do „doliny białego potoku“. Już mijał „Kasprusie“, gdy wpoprzek drogi padło kilka tonów najczystszej wartości. Zatrzymał się i rzucił przed siebie bezradne spojrzenie, dziwnego zawodu i rozczarowania: przyrodo, jesteś niczem wobec tych kilku sztucznych zwrotek fortepianu .. Zaiste... wrócę... nie, pójdę dalej... przecież to wszystko jedno... — I ruszył.

Smukłe kopy siana schodziły łagodnie po stoku małego wzgórza, jak te smutne postacie idące ku zwłokom jakiegoś rozbitka w „żałobie“ Ludwika Hoffmanna; szły przy wtórze wędrownych fletni ciszy przedpołudnia, co trąca piosenką nijaką w dyament smug powietrznych...

Szklanne waltornie fal górskiej rzeki grały przeciągle, rozchwiejnie...

Zatrzymał się na mostku, i począł słuchać tej dwubarwnej pieśni wielkiego smętu bezimiennych płaczek...

Słuchał i słuchał serdecznie i szlachetnie przy wtórze kaszlu urywanego, cichego, złoczynnego.

Ociężałym krokiem minął las świerkowy... Zatrzymał się przy kałuży błota, pierwszej, drugiej, trzeciej... — ja tam w mieście myślałem o was dużo... jestem zmęczony... pozwólcie, że usiądę... przecieśmy dobrzy znajomi...

Dokoła snuła się mara wilgoci dojmująca...

Ziemia ruda czerwienią zeszłorocznych szpilek, marzyła o wielkich płatach słońca zabawnie, uroczyście...

Michał zaśmiał się cierpko:

— Ta ziemia przypomina mi pewnego starca. Szedłem na kopiec Kościuszki. Przy drodze siedział żyd stary, zdrowy, miły; w butonierce chałata chichotał zielenią młody pączek świerka... Żyd był zadowolony i mądry... Czułem, że zerwał tę gałązkę z rozwagą i zastanowieniem; z pewnością nie myślał o rysunku Hoffmanna ani o poezji... a ja...?

Chciałbym być małym chłopcem zbierającym osty w przeczystem skupieniu ducha — chciałbym czuć przyrodę, jak ręka włożona do zimnej wody czuje chłód wilgoci; chciałbym ją czuć przez dreszcze-wyzwolenia rodzące się po przejściu potwornych przepaści... Lecz mnie nad kołyską wypisano: „Arya". lecz moja mowa śni memento sexus, moja fantazya ożywia zamiast odczuwać ideał martwoty... zresztą.. pomyślę nad tem jutro, a może za rok a może z powrotem... bo i cóż ja tu robię u brzegu brudnych łzawnic...

W pół godziny później siadział na „Kazalnicy" i patrzył w małą przepaść...

— A gdyby wskoczyć... o gdyby! — leciałbym po granicach i gdybym zechciał zatrzymałbym się w locie — ja nigdy nie zginę, ani nie utonę, ani nie roztrącę się w szczelinach skalnych... — a gdybym się rozbił, gdybym strzaskał głowę, to rozstąpiłaby się matka ziemia, jak para przejrzysta, i runąłbym w przepaść wszechświata i leciałbym po gruzach uniwersum w kaskadzie gwiazd, jako ten badyl w rzece... leciałbym dalej, dalej, wbrew chęci i woli, wpatrzony okrutnie w okrutną nieśmiertelność...

Tam na dnie doliny potok, zaprawny zdrowością ziół górskich, sączy ton głęboki, monotonny, nizki, jakby uczony przez bąka lub trzmiela lub strunę basetli...

Dlaczego jednak nie wskoczę... zresztą... pomyślę o tem jutro, a może za rok, a może nigdy... bo i cóż ja tu robię u brzegu małej przepaści..

I skierował się do powrotu.

Szedł z trudem, bezmyślnie. Dopiero gościniec szeroki zabłysnął go oddalą i zmusił do uwagi.. —

— dlaczego nie jestem w domu... południe wrześniowe snuje się w porze zdrowej a bogatej słońcem i zielenią; spłowiałe szarfy świerków zwisły szeregiem dywanów starych i bezcennych; lepki balsam słońca nagryza je nędznie i natrętnie... łuna złocista muska błękity; droga oszalała w jedną długą wstęgę gruntu, po którym tęsknota każe dążyć w oddal. Ogromne muzeum osobliwości — muzeum? tak... wszystko jest wspomnieniem albo tylko pamiątką.. ja błądzę sam jeden w ogromnym gmachu. . i patrzę...

Myśl ta przejęła go dziwną hypnozą; sam nie wiedząc, jak i kiedy, uwierzył w swój pomysł, przybrał odpowiednią pozę, i począł marzyć długo, długo...

Zwolna ocknął się i zdziwił się smutnie...

— Zaprawdę ktoś mi mówi, że miałem matkę, żem cierpiał wiele, żem

kochał, że... Jakie ja dziwne mam pomysły... jak ja to dziwnie sobie umyśliłem...

Oczywiście nim dokończył myśli spostrzegł natychmiast złudę, lecz nie zrzucił pozy i ciągnął dalej z udaną naiwnością i prawdziwym smutkiem a ja przecie jestem sam... ja, błękity, drzewa, pył złoty i więcej nic, i nigdy nic nie było i nie będzie, aż tu nagle stworzyłem sobie przeszłość... lecz cóż ja tu robię w tem śmiesznem muzeum...

Z tą myślą wrócił na „Krupówki" i wstąpił do restauracji na obiad.

Ogłuszony korowodem spojrzeń, barw i głosów snującego się towarzystwa patrzył na wszystko, jak na lalki na sprężynkach.

Czuł, że nie ma co robić śród masek i posążków niezależnych od niego a tak mu podobnych.

— On i ta chwila-przepaść pod kopułą czaszki, w której stenograficznie, w cudownem skróceniu myślał miliardem rozbieżnych myśli, widział tysiące obrazów, słyszał uragany słów i szeptów, odczytywał w tytułach całe poematy o tysięcznych zwrotkach — a obok ten dom, ci ludzie... jest w tem coś brutalnego, jakiś anachronizm bardzo nieuczciwy — a przecież to jest piękne i upragnione... Nagle zarumienił się za tę myśl ostatnią, jakby przychwycony na gorącym uczynku nieestetyczności.

— Właściwie, co ja tu robię...

Wracając do domu, przysiadał co chwilę na ławkach. Był znużony, słaby: zdało mu się, że z głowy wytrysły mu ogromne skrzydła, długie w nieskończoność, cieńkie, jak strzała, podbite tysiącem źrenic — a wirowały, jak ten kołowrotek na lampie, szybko, obłędnie, bezcelowo...

Tysiącem oczu rozwiany w przestrzeni płonął tysiącem wyczuć; krew rozpaliła wirowne siestrzenie; setką skrzydeł przetrzebiał oddal z rozpaczą, wściekłością i nadaremnie, szukając jakiejś ulgi —: snu, snu, choć chwilę, kroplę, choć cień cienia!

Przydrożne jarzębiny żeniły się z błękitem rzewną łagodnością prętowia; likwor złota nawadniał firmamenty; szum rzeki falował żmudnie; fale szły tępe, jak marne płazy głaskane ciężką ręką popołudnia.

Z trudem dowlókł się do domu, runął na łóżko, i wezbrał ogromnym płaczem, płaczem bezsilnego gieniusza marzeń. W tem przymknął oczy, żeby nie płakać realnie.. Gorycz łez zabitych przebiegła po twarzy nietoperzem i usiadła w oczach nieznośną ciemnią rodzącej się bezmyślności — a w uszach szumiało jakieś podzwonne, gorączkowe, podłe, natrętne...

Czuł, że wszędzie jest źle, lecz najmniej źle w domu, w ciemności przymkniętych powiek, w dyademie rąd splecionych na głowie litośnie przez swoje własne ja nieutulone...

Leżał długo oddany całą duszą wielkiej mądrości oddechu; starał się oddechać dobrze, miarowo, przyjemnie; jak Samarytanin Łazarza, tak on doglądał myślą i westchnieniem swej własnej strudzonej i zapadłej piersi;

myślał o niej niby o czemś obcem, hańbiącem, bo nie pięknem, a przecież tak drogiem, jak bliźni, jak dziecię... myślał o własnej krtani, jak jastrząb o gołębiu, z jakimś dwuznacznym śmiechem... drwiąco, lecz przez mgławice żalu i wzruszenia...

— Wieżo mistyczna śmierci, naczynie wybrane zatraty — były to słowa powiedziane niegdyś na wykładzie anatomii; profesor mówił o pierścieniach tchawicy; Michał uśmiechał się do preparatu, jakby do szklanki kryjącej truciznę, jakby do klatki, z której wyskoczy ćma trupia główka co siądzie mu na ustach i odgrodzi na zawsze płuca od powietrza; a po ścianach trzepotało się przeczucie spokojne, dowcipne, wołające mu w oczy: „patrz, tędy twoja droga do boleści grodu".

Wieżo mistyczna śmierci...

I dzisiaj doszło go to wspomnienie niby bezbarwne echo wyblakłej piosenki; przyszło bezsilne, i roztrąciło się o wielką chmurę jednej myśli zwartej, monolitycznej: „ach, kiedyż przyjdzie letarg upragniony — a może to już początek? przyjdzie sen kilkudniowy, a potem... Odżyję... będę silny, z krwią wypoczętą w kąpieli zapomnienia, posągom snów dam życia aureolę — uwolnię z piersi wielkie poematy, jako ten anioł w katedrze krakowskiej wyzwala orła z trumny...

Jeżeli jesteś Opatrzności, a czuję cię niestety, to wiedz, że mi się należy letarg, ten upragniony — marzyłem o nim już od kołyski — bo jestem bardzo, bardzo zmęczony — daj mi tę kołyskę-kochankę — ptacy niebiescy mają swoje gniazda, a syn człowieczy nie ma, gdzieby złożył głowę.

Był tak osłabiony, że nie mógł podążyć za własnym żalem; myśli łączyły się mechanicznie, jako je przeszłość złączyła kapryśnie a w tym śpiewniku wspomnień po słowach Chrystusa szły zciszonym płaczem jakieś inne, smutne syllabizowane przez znużoną duszę, jako te dzieci syllabizują na elementarzu: — wypocznij tutaj; to miejsce każdego darzy gościnnością — odetchnij! A choćbyś był nie wiedzieć kim: czego teraz pragniesz? co ci może przynieść ulgę? powiedz tylko: wszystko, co mam, oddam ci — Ulgę? Ulgę? Oh ciekawski, co też ty mówisz! lecz daj mi, proszę, jeszcze jedną maskę, drugą maskę".

Słowa te przybłąkały się tutaj z Krynicy żałosnej wielkiej duszy Fryderyka Nietzchego, i ciekły powoli rozważnie, z tą prostą litością dziecka nad postrzelonym ptakiem; ciekły, niby z flakonu umieszczonego nad łóżkiem krople chloroformu, zraszające maskę na twarzy człowieka, który pragnie usnąć...

A w oczach zarysowała mu się mglista opowiastka, sklecona niedołężnie resztką zbuntowanej woli:

Chrystus tak kochał góry. Nietzche tak kochał góry. Chrystus najpiękniej mówił w górach, Nietzche najpiękniej myślał w górach..

I zapadł bezwiednie w bezdeń bezmyślności, co jest prześliczną powieścią o różnych rzeczach dobrych i bardzo zacnych...

. . . .

Minęły dwie godziny.

Podniósł się i usiadł na krawędzi łóżka; czuł się wypoczętym.

Pożółkłe, drewniane ściany majaczyły bladą purpurą zachodu; ceglaste, niezdrowe rumieńce spowiły pokój chustami zaduchu.

Michał spojrzał uważnie na drzwi, powałę i deski tlejące w łunie bladoczerwonej... I uczuł, i zrozumiał, że musi uciekać, bo przecież drzwi są tylko po to, żeby wychodzić... Nigdy jeszcze nie odczuł tak wyraźnie tego, że izba i chata są tylko bramą w oddal, jakimś tunelem, z którego należy wyjść za wszelką cenę... bo chata nie jest chatą, gdy się jest w jej wnętrzu, bo wszystko jest nicością prócz wiecznej oddali...

Spragniony łagodnych giestów zorzy wieczornej podążył na Krupówki

Fiolet mgieł sennych powiązał olbrzymy górskie przecichą wstęgą, iż poczęły się zbliżać ku sobie, jakby dla nabrania otuchy przed zmrokiem, jakby obłąkane cygańską baśnią zmierzchu... Czuć było, że z każdą chwilą stygną, maleją, stapiają się nieznacznie w kraj jednoimienny... a każda chwila jest kosztowna, stracona... Jakieś jezioro granatu przywarło pochyłą taflą do stoków „Kosistej“.

Błękity i błękity: tryumf błękitów na niebie, na ziemi, nawodzie...

Rzeka szumiała cierpko w stalowym, niezmiennym niepokoju fal, co roiły się w łożysku niby tysiące daszków naniesionych wichrem z wieżyczek japońskich...

Michał szedł zwolna i patrzył... Wiedział dobrze, iż wszystko to spada mu w oczy cicho, tajemniczo, niby grosz wdowi i szelągi pociechy w skarbony wiecznotrwałe: i ten szal fioletu, i te chmury jak blade płyty ametystu, i ten deszcz błękitu w przeźroczem uroczysku powietrza, i ta dzikość rzeki pokrewna dzikości przydrożnych gruszy...

Doszedłszy do miejsca, gdzie rzeka płynęła szerzej i spokojniej, stanął... a raczej wstrzymało go wspomnienie własnego wiersza do fantazyi... Zdało się, że jakieś dziecię stoi u brzegu i rozrabia w nurtach niebieską farbkę z okien chłopskiej chaty hen z pod Krakowa... O takiej chwili przed wiekami święty Augustyn zobaczył małą dziecinę, co przelewała morze drobną rączką w mały dołek piasku — i rozpoczął boski dyalog świętej naiwności...

Michał patrzył długo, potem przeszedł na drugą stronę gościńca i usiadł na ławce.

Panorama gór zdawała się malowidłem na wielkiej kurtynie, która za chwilę będzie podniesioną ...

Przymknął oczy i począł marzyć...

Gdy je po chwili otworzył, było już ciemniej i głębiej szafirowo...

— Czyżby wieczór tak nagle przyspieszył pochodu?

I uśmiechnął się łagodnie, bo przyszło mu na myśl, że oto przed chwilą miał jeszcze na oczach resztę jasności, niby pamiątkę po słońcu-ojczymie, lecz zawierając oczy, starł to powieką, dlatego mu „ciemniej“ . . .

Gdzieniegdzie w oknach wschodziły światła...

Jak w otwory maski wchodzą oczy dziecka dziwne, tajemnicze i niespokojne jak dwie jaskółki... dwie oazy życia wśród martwej twarzy z atłasu lub tektury, tak właśnie w tej chwili wschodziły światła w ciemne, kwadratowe wklęski chat stygnących i ociężałych w rodzącym się mroku...

— Gdzież pójdę? — Oto anioł ciszy nuci hymn wieczoru: — piosenka syrenia trąca magicznie w okiennice mieszkań i wabi szczęścia, troski i zwątpienia domowych ognisk... Oto wychodzą krwawozłote mary w oścież okien... Oto kładą głowy u szklannych puklerzy... Dalej nie wolno... tu „ultima thule“, więzienna krata...

„Biedne my istoty .. biedne my światełka...! był sobie przed laty grajek szczurołap, co uprowadził wszystkie dzieci ze wsi wbrew ojcom i matkom, w sposób tajemny, pieśnią i muzyką... a nas?...“

Pogrążony w powierzchownej zadumie, muskając szczytami spojrzeń pejzaż okoliczny, skierował się „przecznicą“ do domu.

Stanąwszy na moście wytarzał spojrzeniem swą znużoną postać we wąskiej kamiennej kolebie rzeki, odświeżył się wodą we wyobraźni, i zeszedł na „Chramcówki“.

Czuł, że ktoś patrzy za nim natarczywie; obrócił się: nie było nikogo, tylko te góry przywiędłe. zdrobniałe pod szkłem oddali, a przecież tak dotykalnie bliskie, niby małe blanki goszczące błękit, które można zgarnąć Coś błysło mu w oczach: „Dwie gwiazdki srebrnoiskre obok „Świnicy“. Wiatr łagodny sunął gościńcem i trochę prochu.

Michał przypomniał sobie jakąś pracownię stolarską i wióry na brudnej podłodze, wśród których łyskały okruchy stłuczonej szyby. Jak to było dziwnie? a te bitki z towarzyszami? Obsypywali się pękami wiórów wśród śmiechu i łzawych łyskawic w oczach pełnych prochu...

Wiatr głasnął go po twarzy i rzęsach, osuszył nieco wilgoci z białek ocznych i uciekł, by znowu powrócić.

Michał miał wrażenie, że ten wiatr wieczorny to jakiś dziwny, mistyczny ulicznik, obsypujący go niby wiórami tumanem członków górskiego widoku... czego tam nie było? Kościelec, gwiazdy, szmaty błękitu, „Świnica“ i w kształcie zabawek dziecięcych, hafty świerkowe, pył i turkot wozów.

Wzruszyło go to bardzo... Zmieszał się... i uczuł mrowisko zakłopotania płynące łukami kości orbitowych niby branzolety, które ścisną oczy i wycisną nieco łez obojętnych... Na powiekach i ustach miał nieco prochu; począł kaszleć z trudem i niespokojnie. Wówczas poszumiało mu w uszach przeciągłem wianiem szumu, w którym coś pęka, jakby nitka za nitką, w strumieniu momentalnych wrażeń i bólów...

Wszystko to przypomniało mu ból bezimienny w piersiach i wielką niemoc zachrypłego gardła.

Jakiś góralczyk przebiegł obok niego szybko i zręcznie.

Michał powiódł za nim spojrzeniem szerokiem, zazdrosnem, spojrzeniem, co rozparło się w powietrzu rozłogą basztą krzyku, aż wbiło się w ziemię szerokiem ostrzem pługa zapomnianego w polu w dzień pochmurny...

Czuł, że to spojrzenie jest ciężkie, że go nie uniesie, że należy spocząć...

Usiadł na ławce schylony, jakby przynależny do tego gościńca, jakby magnes wszechmocny ciągnął mu piersi ku piersiom ziemi...

„Ach, kiedyż przyjdzie letarg upragniony..."

Oto na całym świecie zapalają lampy i latarnie, by ludzie nie błądzili, idąc po drodze — a ja nawet błądzić nie mogę...

— Dokąd ci ludzie jadą? — ten turkot jest nieznośny.

Budki góralskie jechały coraz częściej i liczniej, jakby naumyślnie; im więcej jechało, tem było ciemniej; jakaś spójnia ukryta sprzęgła te wozy i to wzrastanie wrześniowego mroku.

Michał począł się niepokoić. — Kto tam jedzie? — Nie mógł dojrzeć twarzy, bo płachty zasłaniały. Widział tylko, że postacie wewnętrzu siedziały sztywnie, nienaturalnie, tajemniczo.

— Kto jedzie? Kto to?

Nadjechał gazda znajomy. Michał poznał go po koniach; chciał krzyknąć: — stójcie! kogo wy wieziecie? — lecz nie mógł dobyć głosu.

— A jeśli, a jeśli... każdy z tych ludzi wiezie do chaty noc w tajemnicy droższej nad życie... och — — a ja wrócę do domu, roztropnie przymknę oczy, nieruchomy, blady, i będę udawał, że śpię, że śnię, że nie jestem gorszy od innych... Każdy z tych ludzi wiezie do chaty noc w tajemnicy droższej nad życie... Oni wszyscy są w zmowie, cały świat jest w zmowie... oni wszyscy coś wiedzą, coś mają, tylko ja jeden nic nie wiem, nic, i nie mam nic, nic, nic...

Jestem szyderstwem i pośmiewiskiem...

Kogoście wyszli widzieć? trzcinę chwiejącą się od wiatru? Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jam jest samotny żołnierz znikomości...

Oto krajobrazy spoufalone ze mną cisną się ku mnie, jako te małe dzieci rozpieszczone, lecz po to tylko, by wziąć pocałunek lub pogłaskanie ręką i odejść nie dawszy nic w zamian... Bo cóż dać może sierota-wicher, sierota-droga, sierota-płot, sierota-skała...?

Oto jestem samotny, i widzę niechętnym wzrokiem siebie samego i swoje przeznaczenie, i to ciało, i te ręce, i te szaty. Czuję swój oddech jako coś obcego; czuję, że niebo i gwiazdy i moje westchnienia i te dreszcze febryczne, cała historya ludzkości, śmierć i poezya, wieczność przed czasem i wieczność po czasie, Nirwana i Nicość są czczą zabawką, marnym fragmentem

na drodze ku wiecznej oddali... Wszystko jest po za mną i zawsze było i będzie...

O ty stawanie się wieczoru, i ty łyśnięcie lampy zapalonej — o rzeczy, ludzie, duchy, o ty mój pulsie i ty mój oddechu — nie mamy ze sobą wspólnego nic więcej, prócz, że jesteśmy...

A mnie potrzeba jakiejś dobrej piersi, na którejbym złożył głowę choć na chwilę... chcę tego dreszczu, co obiega głowę pod wpływem oddechu istoty życzliwej... chcę tej pokory, co znieruchomia ruchy, a staje się z ręki kochanego złożonej życzliwie na ramieniu naszem...

I uczuł w duszy tęsknotę boleśnie niesłychaną. . Jakaś mglista siła podniosła go z ławki i powlekła w bramę parku patrzącą z naprzeciwka.

Zszedł. Szedł zwolna, z bezmyślnem namaszczeniem, nie wiedząc dokąd i poco — aż doszedł do jednego dobrze znajomego, subtelnego świerka. Stanął, spojrzał i pochylił oczy — zrozumiał poco tu przyszedł... Czekał z zapartym oddechem.

Łagodne, długie, iście rajskie wiechy skinęły arcylekko, głęboką, śliczną falą, niby woale pełne macierzyństwa, raz, za długą chwilę drugi raz, tak samo... ruchem dobrze obmyślanym, zrodzonym z jakichś wspomnień i rozważań o strasznej nędzy.

On stał małą dzieciną...

Tak samo przed laty kierownik szkoły pospolitej pochylił ku niemu rękę i zwiesił tuż nad głową niby westchnienie pełne dużej łaski i dobrego serca...

Więc już...? już się stało?... już... już... już się stało...

Czuł, że to wszystko czego mógł żądać od życia..!

— Biedny mój kierowniku — na pogrzebie twoim słyszałem, żeś kochał jakąś nauczycielkę, a miałeś żonę i dzieci — zdradzały cię spojrzenia smutne, rozpaczliwe — tyś kochał i cierpiał, a twoi mali uczniowie nic o tem nie wiedzieli, i zazdrościli ci władzy i wolności, i nie lubili cię, bo przecież nikt nie kocha swych nauczycieli...

Dokoła snuły się nieuchwytne struny wieczoru, co rosnął ze ziemi tysiącami łodyg długich, pajęczo cienkich, z których każda rozkwitała w niebie kwiateczkiem bardzo szafirowym...

Młodzieniec oparł się o sąsiednie drzewo, i patrzył, patrzył, jak zwykle, tylko patrzył...

. . . .

. . . .

Ludwik Eminowicz.

O DOKTRYNERACH.

W tym ustępie mowa będzie o „Pałubie“, książce p. Karola Irzykowskiego.*) Jestto książka zajmująca i dobra, więc wiele o niej można pisać, chociaż jedno to określenie już wystarcza. Ustęp ten będzie może skutkiem tego przydługi, może będzie całą książką. Po drodze, dalekiej, zburzy i zbije niejedno, lecz w końcu wszystko stanie na właściwem swojem miejscu, może nawet z tego miejsca wcale się nie ruszy. Burzyć bowiem niepodobna. Lecz... baczyć nie trzeba, trzeba iść, gdzie losy ciągną. Jestto dzieło poważne, autor nazywa je sam dziełem naukowem, język tu więc będzie czasami... naukowy. Każdy człowiek kilku może mówić językami, stylem zaś jednym. Rzeczy najogólniejsze nasamprzód. Budowa.

I.

Wedle wszelkich danych, które otrzymuje się oczywiście po całkowitem przejrzeniu książki, domyśleć się można, że autor tej pracy jest człowiekiem nawróconym. Nawrócenia są w historyi państw, kościołów i jednostek zdarzeniem bardzo częstem, a kronikarze notują je skrzętnie. Jedni ludzie nawracają do wiary, drudzy do niewiary. Istotnej różnicy między niemi dotychczas nie udało się odnaleźć. Święty Franciszek z Asyżu nawrócił się do wiary ojców. Za młodu, pouczają biografowie, był wesół, pełen swawoli i lekkomyślności, pędził dni bez troski wśród wesołych towarzyszy przy stole i na polach, po których harcował konno z pogodą niewzruszoną na czole. Pewnego razu popadł wśród ochoty w głęboką zadumę. Z zadumy niebezpiecznej rodzą się wszelkie nawroty i powroty. Potępił swoją młodość i jął wyrabiać w sobie umiłowanie rzeczy najbardziej nawet przykrych np. trędowatych. Wszystko umiłował, prócz swej młodości, która była grzeszna; grzechu miłować nie można i nie wolno. Lecz to są czasy zbyt odległe.

*) Lwów 1903. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego.

Tołstoj, jak opisują jego książki, nawrócił się, zrzekł się swej młodości, pogardził nią, nie zniszczył jej, bo tego uczynić nie można. To nieodwołalne. Nazwał swoją miłość grzeszną. Dlaczego, nie wiadomo. Człowiek nawrócony bywa często niesprawiedliwy i częściej nieomylny. Przeszłość jest zawsze zła, grzeszna. Jak mało przebaczenia dla siebie, jaka pewność i ograniczoność, jaki brak pokory człowieka nawróconego, widać to od pierwszego rzutu. Wątpliwości się budzą na widok odwagi, z jaką ludzie tacy usuwają rzeczy, które usuwać się nie dadzą, które są podstawą cnót starszych. Grzechy lat młodych są cnotami starości. Tego nie wiedzą?

Huysmans nawrócił się do Boga i do duszy, ciało i człowieka potępił. Swoją młodość nazwał bezbożną i bezduszną czasem i odtąd, ilekroć coś ludzkiego napotkał, odwracał się z odrazą, mówiąc: to tylko ludzkie! Huysmans, to człowiek zresztą zgryźliwy, człowiek klasztornego ducha, któremu dla żywota zbożnego trzeba muru koniecznie.

Takich nawrotów jest ilość nieskończona, pełno w nich różnorodnych odmian malowniczych. — Konrad Mickiewicza („Dziady“) jest człowiekiem nawróconym. *Hic obiit Gustavus*. W historyi nawrotów jestto przykład pełen niezwykłej prostoty. Przykład człowieka wolnego, który poprostu wykreśla.

Jednym z najdziwniejszych konwertytów nowszych czasów jest Nietzsche. W roku 1870 Nietzsche napisał „Narodziny tragedyi“. W kilkanaście lat potem pojawiła się książka, której wstęp był krytyką dawnego dzieła młodzieńczego. Krytyka była ostra, fanatyczna — cecha wszystkich nawróconych — lecz razem pełna pobłażania, nawet podziwu. Taka postawa krytyka była wymowna i piękna. Czytamy w owej przedmowie, że już w czasie pisania „Narodzin“ czuł Nietzsche nad sobą krążące podszepty niewiary. Czy istotnie w roku 1870 tak było, czy to nie było późniejszem złudzeniem, nie wiadomo, trzeba wierzyć. W tej przedmowie Nietzsche nazywa swoje dzieło młodzieńcze,

nieznacznie, mistyfikacyą. Z miejsca owej świeżo zdobytej wiary dostrzegł cienie niewiary w dawnej książce. Było to może złudzenie... optyczne. Nietzsche nie potępił młodości, nie nazwał jej grzeszną ani bezbożną, ani pozbawioną woni ziemi i rzeczywistości, zrzekł się jej całkiem, wykreślił. Drugi przypadek prosty, mniej od Konradowego, co prawda. Szło o zdobycie Ziemi.

Pan Irzykowski jest człowiekiem nawróconym, jeżeli nie mylą wszelkie poszlaki, oto dowód: „Pałuba" (Mowa tu oczywiście o Irzykowskim kreacyi literackiej która obok właściwego bohatera, Strumieńskiego w tej książce występuje. Autorów samych określać wogóle bardzo trudno, może niepodobna. Dzieła są jedyną rzeczywistością w tych przypadkach). Nazwał swoją młodość nierozsądną. Napisał nowelę p. t. „Sny Maryi Dunin" przy pomocy dawnej swojej wiary, iżby jej nicość wykazać. Napisał ją już po nawróceniu. Dlaczego stan obecny jest wyższy od dawnego, nie wiadomo. Autor tak wierzy, to wystarcza. Pewnego razu — takie bowiem natchnienia i zadumy przychodzą nagle i zadają kłam wszystkim intellektualistom, którzy pragną uczynić intellektualność czem innem jak jest, aktem ludzkim, tajemniczym, jak każdy inny, tkwiącym w ziemi zamierzchłej, niezależnym od woli żadnej. Są takie chwile może zakończeniem długich chwil podobnych, lecz jestto ich uchwycenie ostateczne. Wogólności można powiedzieć, że żaden człowiek nie szuka, lecz tylko znajduje. Pewnego więc razu p. Irzykowski przekonał się, że miłość nie jest wielka, (W sprawach nawracania nie idzie o wiarę, lecz o... przedmiot wiary; tem wszyscy nawróceni są tragiczni) lecz, że miłość jest mała. Nie jest przedewszystkiem, jak chcą i głoszą chwalcy i pisarze powieści, całością, kompletem, lecz złożonością, kompleksem różnych przedrobnych faktów, przeważnie takich, które na uwielbienie nie zasługują, faktów „brzydkich". Miłość jest poprostu abstrakcyą. Ile zaś „ładnych" rzeczy może się złożyć na każdy osobno z owych faktów „brzydkich" i drobnych, nie wiadomo, o tem niema mowy, ponieważ w swojej analizie dochodzi p. Irzykowski tylko do pewnej granicy, do rzeczy, które nazywa prostemi, a które proste nie są. Do dzieła to zresztą niepotrzebne, stanowisko jedynie słuszne i prawdziwe. Przekonawszy się zatem, że dawnej wiary przedmiot, Poezya, jest nierozsądna, że przedewszystkiem nie istnieje, ruszył... Nie, pewnego razu znalazł Rzeczywistość i powiedział, że przekonał się o nicości poezyi Napisał książkę p. t. „Pałuba", w której ostro, fanatycznie (wszak to nawrócony) skrytykował utwór młodzieńczy. Wyrzekł się „grzechów" młodości, potępił. Rys doktrynera, który nie chce spokojnie przyglądać się owym grzechom, i który nie wie może, że one same się go wyrzekną i przejdą w inne... grzechy. Ogłosił go, niebaczny!, fałszem, nieprawdą, grzechem czy jak tam. Jak wszyscy nawróceni jest p. Irzykowski prozelytą, nietylko siebie samego, lecz i drugich chce przekonać. To jest w tradycyi i p. Irzykowski poszedł szlakiem, którym pchnęła go Historya, ta istota dziwaczna, która wszystko notuje nieodwołalnie. Niewątpliwie muszą tu być rzeczy, których w historyi jeszcze nie było, lecz i te już dzisiaj, w roku 1903 należą do historyi. Temi zajmiemy się przedewszystkiem, a może wówczas to historyczne pojmowanie p. I. okaże się błędnem, z fałszywego powziętem punktu oryentacyjnego? Przypadek, któremu zaufamy, to okaże.

Owe „Sny Maryi Dunin" nazwał mistyfikacyą, czem są, lecz szkoda, że nie mamy w literaturze z dawniejszych czasów z dobrą wiarą napisanych „Snów". W nich dzisiaj mógłby się prawdopodobnie dopatrzeć już przyszłych zamachów — Widzimy, jak historya nawrócenia p. Irzykowskiego podobna jest do historyi Nietzschego. Nie, jakoby zależnie od Nietzschego. Takie sprawy od nikogo nie zależą i toczą się samodzielnym biegiem na krańcach najbardziej odległych Lecz jestto niemal pewnik, — na tym świecie niepewności — że ludzie pchnięci na jedną drogę (tu, drogę konwersyi) nieuniknionym sposobem w tak różnych, zupełnie odmiennych sytuacyach, czynią ruchy takiesame i giesty. Nie tesame. Przytem Nietzsche albo Konrad, to określenie przesadne, po-

tyczne, jakby powiedział autor „Pałuby“. Według p. Irzykowskiego poezyi niema i nie będzie. Poezya jest przesadą. (Tosamo możnaby oczywiście powiedzieć o nauce). P. Irzykowski, wyznawca rzeczywistości, nie dostrzegł, że wysuwanie przesady może świadczyć o braku zmysłu właśnie rzeczywistości. Albowiem niebotyczne budowy poetów nie tak dalekie są od ziemi, od codzienności, lecz przeciwnie, jak każdy człowiek, tkwią w ziemi i tylko w ziemi. Nawrócony nawraca się tylko do pewnej d z i e d z i n y wiary, inne dziedziny wydają się grzechem. P. Irzykowski zdobył jedną dziedzinę rzeczywistości, dlatego wszystkie inne są zmyśleniem. Tymczasem przesada jest cnotą również. Wystąpił przeciwko rozpowszechnionemu przesadzaniu niektórych rzeczy, w ciągu walki rozognił się i stanął wobec straszliwego potwora: Przesady. Tego należy zabić.

Zauważyć można mimochodem, że p. Irzykowskiemu idzie wszędzie o treść — jak wszystkim doktrynerom, niezależnie od całego dzieła. I na tym punkcie dałoby się usunąć „przesadę“, przyjąwszy, że rozmaite umysły rozmaicie podają te same fakty. Oto np. Urywek z wiersza Staffa p. t, „Miłość“ („Dzień duszy“):

. . . Przejdziem życie nieświadomi.
Że nas strach i nienawiść łączy jak obroża...
Ty nie przeczujesz, że się lęk powrozów gromi
Ani ja nie przeczuję w twojej dłoni noża...

Powiedzmy, że jestto umysł hyperboliczny, który ten obraz napisał. To może być fakt codzienny, w którym ani „lęku powrozów“, ani „noża“ niema. Taka byłaby krytyka p. Irzykowskiego. Nie dalekie również przypuszczenie, że znalazłby się umysł, (pozbawiony poczucia odrębności, szczegółowości wobec faktów) któryby stosunek autora do swego bohatera, Strumieńskiego, w „Pałubie“ określił jako Faust i Mefistofeles. Idzie wszędzie o zmysł rzeczywistości, ludzie, którzy go mają, tworzą obrazy bardzo dalekie. Kto chce pojmować je użytecznie, „dla życia“, może je przemienić na wartości swoje „rzeczywiste“, codzienne, może brać je jako alegorye.

* * *

Uwaga o stylu.

Pan Irzykowski przekonał się, że miłość jest rzeczą złożoną, z drobniutkich, bardzo licznych faktów, że więc jest abstrakcyą. Miłość nie istnieje. Jak widać, jestto walka przeciw Językowi. On to jest ową Poezyą, Przesadą, której niema. Jestto walka przeciw Imieniowi. Oczywiście autor zabrał się do swego dzieła z językiem w głowie, dzieło zaś należało wykonać w materyale żywym, bezimiennie. P. Irzykowski bowiem jest doktrynerem rzeczywistości. Sposób postępowania będzie więc u niego odwrotnością sposobu innych doktrynerów. Wogólnych jednak rysach doktrynerzy chcą rzeczy jednej, dążą do drugiej. Imię więc wszystkiemu winne, należy je usunąć. Ztąd teorya bezimienności p. Irzykowskiego (o niej więcej potem) który wie dobrze, że tu o język idzie. — Otóż możnaby iść dalej i powiedzieć, że i owe fakty drobne nie istnieją, nie są faktami. Na miłość składa się, prócz innych faktów, także kłótnia kochanków. Otóż kłótnia nie istnieje. Jest abstrakcyą, na którą składa się nieskończona ilość faktów, albo, mówiąc językiem naukowym (psychologa Ribota), jest asocyacyą, którą należy rozłożyć. Strumieński, bohater „Pałuby“ miewał kłótnie ze swoją żoną, Olą. Tyle Irzykowski. Językiem... Liwiuszów i Lelewelów brzmiałoby to może: Strumieński powiedział że ją, Olę, kocha, lecz, że jej żadnej tajemicy odkryć nie może, Ola zaś rzekła na to, że on, Strumieński, gruntownie się myli, że kto kocha, ten niczego nie ukrywa, przeciwnie, ukazuje wszystko, że jednak samem zaznaczeniem tajemnicy odkrył już wszystko, że więc jak człowiek nieostrożny postąpił. Strumieński odpowiedział, że ona, Ola, jest wprawdzie bardzo bystra, że jednak uogólnia zbyt szybko, że on wprawdzie odkrył tajemnicę, że jednak nie odkrył, co jest przedmiotem tej tajemnicy. Ola zaś oświadczyła, że oto nie dba wcale, że trzeba nieuleczalnego doktrynera, aby rozwałkowywać tajemnice na nią samą i na jej przedmiot. I t. d. Jak widać, faktów tu ogromnie wiele, kłótnia ledwo rozpoczęta. Analiza jak najdalsza zasadza się właśnie na zesta-

wianiu faktów, obojętne, jakich. Nie zaś na wyliczaniu motywów, przyczyn, skutków sposobem poetycznym, gotową formułką. Motywem bowiem jest tensam cały człowiek chwilę wcześniej, skutkiem jest tensam człowiek chwilę później. Więc motyw, przyczyna jako akt ludzki: artyzm. Taksamo skutek — nie zaś jako „wartości psychiczne". P. I. o tem wie, postępuje jednak metodą starą. Do sprawy metody wrócimy.

Jestto źródło artystycznych kształtów i stylu. Pan Irzykowski natomiast napisał to właśnie poetycznie, nazwał rzecz po imieniu. Otóż nazwać rzecz po imieniu, znaczy popełniać przesadę. Przez rzecz rozumieć tu należy jakieś zdarzenie np. kłótnia. Jestto przykład drobny, znaleźć ich można wiele w „Pałubie", która jest poezyą. W poezyi p. Irzykowski brnie po pas. To zestawienie faktów nazywa błędnie fotografią i utrzymuje, że tak jedynie do prawdy dojść można. Błędnie dlatego, że jedne rzeczy uważa za fakty, drugich za fakty nie uważa. Literatura wszystko przyjmuje za fakt. Do stylu wrócimy.

* * *

„Pałuba" jest, wedle słów autora, studyum biograficznem nieznanego Piotra Strumieńskiego. „Biografia, powiada... prof. Chmielowski (Stylistyka polska), wystawia wszystkie okoliczności, wszystkie przejścia duchowe czy materyalne, jakim pewna osobistość w biegu życia ulegała" (str. 214). Jak widać, życie i osobistość rozpadły się tu na dwie rzeczy odrębne. Osobistość stała się nazwiskiem, podobnie jak Strumieński w „Pałubie" jest nazwiskiem. Mając taką definicyę uczeni bez wahania piszą: A. B. jako poeta i człowiek, lub: C. D. jako ojciec rodziny i obywatel. „Biograf, powiada nieco dalej prof. Chmielowski, może i powinien się posługiwać charakterystyką czy to przejść poszczególnych w rozwoju swego bohatera czy też w całości jego życia i działania". W ten sposób może się zdarzyć, że niejedno zdarzenie było „błędem" w tym żywocie. Lecz w tym wypadku „Pałuby" definicya jest dobra. Nie dlatego, że dzieło jej odpowiada, lecz, że ona odpowiada dziełu. Bohaterem „Pałuby" jest nieznany Piotr Strumieński. W najogólniejszych rysach można zebrać i powiedzieć: Każdy człowiek, szczególnie „intellektualista" ma w sobie człowieka niemożliwego — istniejącego odrębnem istnieniem, drugiem życiem, które (w poprzednim artykule) nazwałem nie mniej od widocznego rzeczywistem. Otóż jak Strumieński jeden zbacza od drugiego, jak chce owego niemożliwego człowieka uczynić możliwym, to znaczy wprządz go w bieg wypadków z dnia na dzień, wypadków, które mu są obce, — jak nigdy skutkiem tego nie dochodzi do swej przyszłości — doktryner, ten Strumieński — ponieważ na ziemi jeden tylko możliwy, i ponieważ dla tamtego innych zdarzeń potrzeba —: oto „Pałuba". Ów człowiek niemożliwy, to konstrukcya, ideał, żyjący swem życiem idealnem: jedna linia; drugi człowiek, możliwy, żyje życiem zdarzeń, czyli, wedle autora, w rzeczywistości: druga linia. Linie te mają biedz prosto, lecz tego, nieszczęsne, nie czynią. Wybiegają z torów prostych (ideał się... realizuje, rzeczywistość się idealizuje, zapomocą przesady) i krzyżują się; powstaje wypadkowa czyli zygzak nieustanny, Symetrycznemu biegowi linij przeszkadza Bogini Rzeczywistość, która Ideał skrzywia i wytwarza zygzakowatość, wzajemne oddziaływanie. Otrzymujemy w ten sposób 3 czynniki. Człowiek sam... człowieka niema. Wynik jest bezimienną tautologią: Rzeczywistość. W lichych powieściach (np, Gasztełda, który jest przyjacielem Strumieńskiego) owa konstrukcya zwycięża: jestto nietakt. Ale też od lichych powieści nikt taktu nie wymaga. Strumieński z swoim żywotem chce postąpić jak kiepski powieściopisarz. Ten zwięzły rys niechaj na tymczasem wystarczy. Są więc w „Pałubie" koleje życia, jakim ulegał (wyrażenie, zupełnie dziwaczne prof. Chmielowskiego tu stosuje się doskonale i dosłownie) Strumieński. Gdzie sam Strumieński? Niema go. Autor go wcale nie chce. Autor utrzymuje, że Strumieński, człowiek cały, jednolity nie istnieje, jest Imieniem, Nazwiskiem, poezyą, urojeniem. Widzieliśmy, jak autor zapomniał podać przyczyny. Przyczyną, wedle autora,

to, że są tylko fakty życia, rzeczywistość, która kieruje człowiekiem autonomicznie, wobec której człowiek jest bezsilny. Autor nie dodał, doktrynerem, nie zaś człowiekiem prostym. Wedle autora, człowiek i wszystko, co nazywa się charakterem i co, skutkiem tego, pociąga za sobą pewne obowiązki stałości, niezmienności, to kłębek faktów, żadną nicią nie powiązanych. Wiąże je tylko pałubiczna zdolność tworzenia urojeń. Zgoda. W rzeczywistości niema całych ludzi, są to urojenia. Otóż artyzm, biografia artystyczna, daje ludzi żywych, nie zaś żyjących. Z człowiekiem żyjącym istotnie nie daleko zajdzie, jestto kłębek faktów niezliczonych, którym końca niema ani początku. Dzieło, które chce pokazać człowieka żyjącego, byłoby biologią lub inną nauką. Biologia jest biografią również, lecz nie artystyczną. Według p. Irzykowskiego i definicyi prof. Chmielowskiego, żywot człowieka jest materyałem — materyałem obojętnym (jakkolwiek jest konieczny, ponieważ go człowiek przebiegł?) Można koleje tego żywota przyczepić do każdego nazwiska, nazwisko przeto żywem nie będzie. Biografia sprzęga zdarzenia z człowiekiem w jedną całość tak, że w każdem zdarzeniu człowiek jest cały, chociaż cząstka. (Pan Irzykowski daje zdarzeniom przewagę, nie zwrócił jednak uwagi na Strumieńskiego, który podwójny żywot pędzi). W ten sposób powstaje konstrukcya, oparta na prawach perspektywy, nie p zeciwna w niczem Rzeczywistości. Człowiek w takiej biografii niema początku ani końca, sięga dali zamierzchłych. Strumieńskiego żywot jest materyałem do dzieła. Autor zaznacza nawet, że ma w głowie idealną „Pału ę“. Na tę czekamy, na ten zbiór aktów i gestów. Biografią wszak może być portret przez malarza malowany, lub figura w dramacie, który trzy lub cztery zdarzenia życia bohatera przywodzi. — Nie idzie tu o ustalenie ostateczne, czy istnieje coś takiego jak „chara ter“ jest to społeczeństwo faktów, w których jedności dopatruje się historyk po długich czasach, jestto konstrukcya przeszłości — lecz w literaturze rozstrzyga jedynie wiara tzn. widzenie całego człowieka. Strumieńskiego rozpatrzymy, jakim jest, bo ostatecznie... j e s t!

Przytem zwolennik nauki p. Irzykowski zna „ja“ niezawodnie. Nauka określa to najdrobniejsze życie jako cenestezyę (Th. Ribot: *Les maladies de la mémoire*). Jestto poczucie własnego ciała czy organizmu. I to wystarczy. Jest tu już dusza i ciało. Pamięć? Można mieć charakter przez pamięć. Będzie to charakter doktrynerski, oparty na przeszłości, na tradycyi (Istotnie staraniem nieustannem Strumieńskiego jest wytworzenie sobie takiej tradycyi — Strumieński jest doktrynerem przeszłości): można także mieć charakter przez niepamięć, będzie to Przytomność umysłu, potęga tajemnicza. Pamięcią posługują się doktrynerzy i popełniają ten błąd fatalny, że wierzą w powrót czasu (sytuacyj) w powtarzanie się minionych spraw, chociaż są sprawy te minione bezpowrotnie. Sprawy odmienne, a w ich przekonaniu wymagają aktów podobnych. Ludzie przytomni, to cząstka i całość jednocześnie. Do tej niepamięci dojść nie można. Nie można szukać rozwoju, stopniowania, wspinania się wzwyż, jestto bowiem szczyt niepamiętny, zawsze obecny. Ci, którzy doń dochodzą, przynoszą ze sobą, mimo wszystko, odcień przeszłości: pogardę, gorycz, oczy zamglone, melancholię wysiłków i trudów przebytych. Doktrynerzy są ludzie nieweseli, brak im niewinności bohaterów. Doktrynerzy kończą tam, gdzie zaczynają bohaterowie. C. d. n. *St. Lack.*